

Przygody Schadenfreude'a

Autor: Daemon McRae

Tłumacz: Dolar84

Korekta ostateczna: Rarity

Prereading/korekta wstępna/patroszenie ogólne: Gandzia

Rozdział 1

„Tak, oczy was nie mylą”

Wielu bohaterów naszych czasów przeżyło w młodości jakąś traumę. Batmare straciła rodziców. Supermare planetę. Daring Do... może zażyła kiepskiego seksu na studiach. Nie mam pojęcia.

Ale moja historia jest znacznie mroczniejsza. Okrutniejsza. Brutalniejsza. Pełna niepewności i zepsucia w mieście, które wielu entuzjastycznie wskazuje jako miejsce, z którego światło nadziei opromienia cały kraj.

Jestem... Lokajem.

Ten dzień, ten pamiętny, niefortunny dzień zaczął się niemal zwyczajnie. Po pierwsze: obudziłem się we własnym łóżku.

Nie żebym miał w zwyczaju budzić się u innych kuców. Mam za to tendencję do spędzania nocy w więzieniu. Ale tylko nocy. Za drobne przewinienia. Bo nic poważnego psiarnia na mnie nie ma, yo!

...szlag, na czym stanąłem?

A tak. Pobudka we własnym łóżku. Tak się zdarzyło. Obudziłem się i rozpocząłem dzień. Wtedy pracowałem na telefonie w obsłudze klienta, odbierając połączenia od kuców skarżących się na działanie taksówek. A dokładniej, zwykle nie rozumieli, po co, do diabła, niby są potrzebne, skoro każdy potrafi wszędzie dojść samemu. Wtedy zwykle pytałem:

– No tak, ale po co?

Wtedy zwykle się rozłączali. Nie było na mnie wielu skarg.

No ale jak już mówiłem, obudziłem się i szykowałem do pracy. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale zasnuty burzowymi chmurami horyzont zaczynał się przejaśniać. Coś takiego zwykle oznaczało popołudniowy deszcz, dlatego, pakując sakwy, upchnąłem w nich parasol.

Śniadanie było proste. Płatki. Lubię jeść takie mocno chrupiące. Szczególnie w towarzystwie. Obserwowanie, jak kuce krzywią się, słysząc każde możliwe do uniknięcia chrupnięcie, napełnia mnie sadystyczną radością.

Chyba powinienem się przedstawić. Nazywam się Schadenfreude.

Teraz pewnie zastanawiacie się, jak do cholery kuc mógł dostać takie... kurwa. To miała być opowieść o tajemniczym bohaterze, prawda? Chyba powinienem był zataić swoje personalia.

Szlag by to trafił.

W każdym razie zgodzicie się chyba, że to dziwaczne imię? Cóż, mój ojciec był dupkiem. I moim bohaterem. Nazywał się Pffft Whatever, a swoje miano otrzymał, bo jego rodzice byli naćpani. Kiedy się rodził.

To w sumie taka rodzinna tradycja. Nie ćpanie, ale nadawanie imion źrebakom w rodzinie od strony ojca, które w jakiś sposób łączą się z okolicznościami narodzin. Miałem pra-do-umptej-dziadka o imieniu „You Did This To Me”. Był psychologiem.

No, ale wracamy do sedna. Ojciec nazwał mnie tak, a nie inaczej, gdyż matka, Rose Glass, powiedziała, że może nadać mi imię. Zrobiła to dwa dni przed porodem, który tatko spędził w poczekalni, czytając pornosy i paląc cygaro.

Ich małżeństwo przechodziło trudny okres, kiedy się rodziłem. Krótco później doszło do rozwodu i zostałem z ojcem. Przed śmiercią nauczył mnie wszystkiego, co wiedział. Zabił go rak płuc.

Waliło go to. Z tego, co wiem, jego ostatnimi słowami, gdy ostrzegano go, że operacja może go zabić, było:

– Spoko. To mogę teraz dostać ten darmowy budyń?

Był inspiracją. Kochałem tatkę.

Dlatego właśnie z dumą noszę swoje miano. Wyszło na to, że rodziciel okazał się swego rodzaju prorokiem. Niektóre kuce dostają imiona oddające ich upragniony przez rodziców przyszły talent. Inne dostają coś ogólniejszego, a ładnego i mówi im się, żeby same „odkrywały” świat.

Tato okazał się pieprzonym medium.

Moim specjalnym talentem jest odnajdywanie drobiazgów, które irytują inne kuce i wykorzystywanie ich do granic możliwości. A potem radowanie się z osiągniętych efektów.

Większość czasu w więzieniu spędziłem głównie dlatego, że wkurwiałem gwardzistów. Nie mam kartoteki jako takiej. To raczej oficjalny dokument zatytułowany „Rzeczy, których Schadenfreude NIE może robić w Canterlot”.

Ale tak, na śniadanie miałem płatki.

Co? Mam się powstrzymać od dygresji? Pfff, proszę was. Bo jeszcze posłucham.

Prawda. Śniadanie. Chrupiące płatki. Cóż, trwało mniej więcej tak długo, ile ponowne przypomnienie wam, że jadłem płatki. Wstałem od stołu, umyłem naczynia, odstawiłem je na miejsce i wykonałem inne codzienne czynności. Uśmiechnąłem się do siebie, kiedy drzwi szafki nie domknęły się do końca. To taki mały knyf dla irytowania gości. Głównie rodziny, czasem przyjaciół. Do tylnej ściany przybita jest deseczka, która jest na tyle wąska, że naczynia nie wystają, ale na tyle szeroka, że uniemożliwia zamknięcie drzwiczek, bo lekko wypycha całą zawartość do przodu.

Moja matka tego nienawidzi.

Tak więc po śniadaniu, zmywaniu i pakowaniu ruszyłem do pracy.

Droga nie obfitowała w wydarzenia. Biuro jest zaledwie kilka przecznic od mojego mieszkania. Po drodze jest kiosk, a ja zawsze bardzo wcześnie wychodzę do pracy. Biorę dzienne zmiany, bo popołudnia lubię mieć dla siebie. Dodatkową korzyścią jest to, że większość kuców jeszcze nie pracuje.

Jak wspomniany kioskarz. Do jego pojawienia się miałem jakieś pół godziny. Specjalnie wyszedłem wcześniej, żeby zdążyć przed nim. Po co? Ano po to, żeby poprzekrzywiać kilka czasopism i schować jego poranną dostawę nowości. Nie tak, by nie mógł ich znaleźć, tylko tak, by musiał poświęcić kilka dodatkowych chwil na ich znalezienie.

Nienawidzi gazetiarza.

Kiedy się z tym uporałem, wszedłem do budynku. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, była księżniczka Celestia, no bo dajcie spokój. Jest naprawdę duża. Nie gruba. Wysoka. I rozmawia z moim szefem. Który widzi, jak się pojawiam i szeroko się uśmiecha. Nigdy wcześniej tego nie robił.

– Schadenfreude, dobrze cię widzieć! Posłuchaj, chciałbym przedstawić cię księżniczce Celestii – mówi z głupim uśmiechem przyklepionym do pyska. Takim, po którym od razu wiadomo, że coś knuje.

Księżniczka podchodzi do mnie i lekko pochyla głowę, mówiąc:

– Witaj, Schadenfreude.

– No cześć, Sunbutt.

Mądrości ojca Whatevera #1: Miej wszystko w dupie.